Tom XV. Nr. 5.

11. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kajdany tatarskie.

Będzie temu już dobrze lat kilka, kiedy wybrałem się był do Krakowa, aby obaczyć to stare miasto polskie, niegdyś stolicę królów naszych, i oglądnąć wszystkie te święte pamiątki, które po naszej dawnej sławie pozostały. Nachodziłem się tam i napatrzałem, jak nigdy w życiu, bo gdzie tylko nogą stąpisz w Krakowie, tam zaraz masz jakąś pamiątkę starą, miłą dla serca polskiego.... Oglądnąwszy wszystkie kościoły i pomodliwszy się w nich, jak na dobrego katolika przystało i zapłakawszy nad grobami królów polskich i nad mogiłą Kościuszki, chciałem już wyjeżdżać, kiedy mnie przypadkiem spotkał na ulicy mój dawny dobry znajomy i przyjaciel, Jakób Stolnik, który tam w Krakowie był nauczycielem przy jednej szkółce.

Kiedym się serdecznie powitał i rozgadał z Jakóbem, pyta mnie on:

— Jakto już jedziesz?

— Zostałbym tu rad i wiek cały, — mówię mu na to — bo tu wszystko Polaka za serce chwyta, ale cóż kiedy mi spieszno do domu....

— A widziałeś już wszystko? — pyta mnie Jakób.

— Co mogłem to zwiedziłem.

— A byłeś już na wystawie starożytności? — pyta mnie Jakób.

— A jakaż to jest wystawa?

— Oto widzisz — począł mi tłumaczyć Jakób — jest tu właśnie teraz taka wystawa, na której widzieć można rozmaite stare sprzęty i rzeczy, które po kilkaset lat już mają, a są pamiątkami po dawnych Polakach, naszych dziadach i pradziadach.

Jak mi to tylko powiedział Jakób, tak ja zaraz prosiłem go, aby mnie na tę wystawę zaprowadził i poszliśmy też obaj. Jakób zaprowadził mnie do bardzo wielkiej izby i tu zobaczyłem to na ścianach porozwieszane, to znowu na stołach lub za szkłem poustawiane starożytne sprzęty i różności. Były tu i te bożki gliniane, które Polacy czcili, kiedy jeszcze wiary Chrystusowej nie znali, i stare siekiery z kamienia, z tych czasów kiedy to jeszcze z żelazem ludzie obchodzić się nie umieli, i okrutnie wielkie miecze i spisy, i żelazne ciężkie zbroje, wyraźnie jakby koszule z łańcuchów, w których dawniej rycerze polscy wojowali, a którychby już dziś nikt nie udźwignął, i pancerze stalowe i buławy hetmańskie, i burka z grubego sukna, w której Czarnecki wojował Szweda i Moskala, i stare pieniądze i inne różne różności z dawnych wieków.

Oglądał ja to wszystko z wielką ciekawością a Jakób mi tłumaczył, bo wiedział, co każda rzecz oznacza, z jakiego czasu pochodzi i co się z nią za pamiątka wiąże. Kiedy już miałem odchodzić, zobaczyłem naraz na samym końcu izby duże kajdany z żelaza z ciężkiemi kulami, które wisiały na ścianie koło starych mieczów i toporów.

— A to na jaką pamiątkę są te kajdany? — spytałem Jakóba.

— To są kajdany Gątkowskiego — odpowiedział mi Jakób. O tych kajdanach jest cała cudowna historja.

Ciekawość mnie wielka zdjęła, więc też proszę Jakóba mocno, aby mi był łaskaw opowiedzieć tę cudowną historję.

Jakób jako dobry znajomy i przyjaciel a przy tem człek rozumny nie był od tego i począł mi taką historję opowiadać.

— Przed dawnym, bardzo dawnym czasem żyło w Szołdrzykach ubogie małżeństwo, które miało syna jedynaka. Małżeństwo to nazywało się Gątkowscy, a syn ich Jan. Jaś był bardzo pojętnem i dobrem dzieckiem, a kiedy podrósł, prosił bardzo swoich rodziców, aby go wysłali do Krakowa do szkoły, bo w Krakowie były wtedy sławne na świat cały szkoły, do których z dalekich nawet krajów przybywali młodzieńce.

Rodzice Jasia byli ubodzy, więc nie mieli za co posłać go na naukę do Krakowa, ale matka jego miała w Krakowie brata, który był księdzem. Ten ksiądz obiecał być Janowi pomocnym i wziął go do Krakowa. Jan począł się uczyć pilnie i gorliwie, a był przytem bardzo obyczajnym i pobożnym studentem. Chodził on często do kościoła, a że w bliskości był kościoł św. Jana, więc Jan zazwyczaj chodził się modlić do niego. W tym kościele był znowu cudowny obraz Najświętszej Panny a Jan student powziął wielkie nabożeństwo do Matki Bożej, i modlił się gorąco przed tym jej obrazem, słynącym głośno z łask i cudów. To też Najświętsza Panna jakby się wyraźnie opiekowała biednym studentem, bo ile razy Jan był w smutku lub utrapieniu, zawsze biegał do kościoła i padał na kolana przed tym obrazem, i zawsze doznał pociechy w frasunku, pomocy i ratunku w biedzie i nieszczęściu.

Pod tą opicką Najświętszej Panny ukończył szkoły Jan Gątkowski a gdy wyrósł w chłopa, zaciągnął się do wojska pod chorągiew Stanisława Lubomirskiego. A było to w roku 1629. Właśnie podówczas wybierało się wojsko polskie pod Lubomirskim i sławnym rycerzem Stefanem Chmieleckim na Tatarów pogan, którzy wpadli byli do Polski i okrutne czynili spustoszenia.

Kiedy już Jan Gątkowski miał ruszać z innymi na wojnę, poszedł jeszcze do Kościoła św. Jana i modlił się długo przed cudownym obrazem Najświętszej Panny, prosząc ją o łaskę i pomoc, i oddając się jej pod świętą opiekę.

Zaledwie jednak przyszło po raz pierwszy do bitwy z Tatarami, Jan Gątkowski dostał się do niewoli tatarskiej. Ciężka

to była niewola u pogan, jak już o tem wiecie, bo nieraz wam o niej opowiadaliśmy. To też i ten Jan Gątkowski musiał znosić wielkie męczarnie i ciężkie trudy, a Tatarzy kazali mu pracować na polu, przyprzęgając go do taczek i wozów jakby konia. Do tego jeszcze okuli Tatarzy Gątkowskiego w ciężkie kajdany żelazne z wielkiemi kulami, i ledwie tyle jeść mu dawali, że mógł jeszcze oddechać.

Pewnego wieczora, po długiej pracy, Jan Gątkowski pokaleczony i niezmiernie zbity padł jak nieżywy na ziemię i począł płakać gorżko na swoją niedolę. W tym żalu i płaczu serdecznym przyszedł mu na pamięć obraz w kościele św. Jana w Krakowie, przed którym modlił się tyle razy będąc studentem, ukląkł więc i począł się modlić gorąco do Najświętszej Panny. Zaraz też jakaś pociecha wstąpiła w jego serce i zasnął snem spokojnym.

We śnie zdało mu się, że Matka Boża zstąpiła z tego obrazu, przyszła do niego i rzekła mu:

— Idź, jesteś wolny!

Obudził się zaraz Gątkowski, porwał się na równe nogi i o dziwo! patrzy a tu na jego nogach niema już kajdan! Kajdany te cudem opadły z niego i leżały obok na ziemi.

Widząc to cudowne zmiłowanie Boskie Gątkowski umyślił uciekać. Ale przypomniał sobie zaraz, że niedaleko stał na straży Tatar. Chwycił tedy Gątkowski kajdany, aby ich użyć zamiast broni i bić niemi Tatara, gdyby go chciał zatrzymywać, i wyszedł z więzienia.

Przed bramą zastał Tatara, który stał na warcie, i już Gątkowski był na to przygotowanym, że przyjdzie mu z tym poganinem walczyć na śmierć lub życie, ale tymczasem Tatar ów nie zatrzymuje go wcale, ale mówi mu tylko:

— Jeżli chcesz uciekać, to uciekajmy razem, bo mnie się śniło, że mnie Pan Bóg uszczęśliwi, jeżeli pomogę do ucieczki jakiemu biednemu więźniowi.

Zabrał tedy z sobą Gątkowski Tatara i dziękując Najśw. Pannie za to cudowne wybawienie, udał się z nim w ucieczkę. Po długich trudach i najrozmaitszych przeszkodach udało się im obu dostać na polską ziemię, do Tulczyna. Skoro tu

przybył Gątkowski, udał się zaraz z Tatarem do klasztoru Dominikanów. W klasztorze tym Tatar poganin, oświecony łaską Boską, dał się ochrzcić i przyjął wiarę chrześciańską, Gątkowski zaś nie zatrzymując się długo, ruszył do Krakowa, aby złożyć dzięki Najświętszej Pannie za cudowne uratowanie. Przybywszy do Krakowa Gątkowski wstąpił do zakonu, a kajdany owe tatarskie, które był zabrał z sobą, zawiesił jako wotum przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Krakowie.

— Otoż taka to jest historja tych kajdan, które tu wiszą na ścianie — skończył opowiadanie Jakób.

Podziękowałem z serca Jakóbowi za tę piękną historję i spamiętałem sobie ją dobrze, a teraz ją tu dla was wypisałem, jak umiałem.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Dokończenie.)

IX. Sybir.

Więc śród krwawego ucisku,
Miał Morawski tyle zysku,
Że znów kilka sprzątnął głów,
I moskiewskich nabił kpów.
Bo gdzie dorwał, tłukł i siekł,
I tem chociaż się przysłużył,
Że niejeden zdrajca szpieg,
Przed nim oczy swoje zmrużył
Ale Drewicz się pilnował,
I swej straty nie darował.
Oj zawzięty Moskal ten,
Był zaciętszy niżli Renn.
Ten moskiewski pan jenerał,
Co ze złości aż umierał,
Tysiąc ludzi poniewierał,
Na jednego, na rzeźnika,
Co tam sobie laskiem zmyka.
Więc chociaż i męztwo poprze,
I choć uda mu się fryka,
Kiedy człowiek jeden zmyka,
Toć tysiącu się nie oprze.
I nie oparł się Morawski,
I przepadła cała sztuka,
Wróg plądruje wszystkie laski,
I kochanka swego szuka,
Szuka, pieni się ze złości,
I klnie na czem piekło stoi;
Chciwy tylko zemsty swojej,
I nagrody carskiej mości.
Aż też piekło całe razem,
Z nim zawarło sojusz bratni,
I wraz z moskiewskiem żelazem,
Zadało mu cios ostatni.
Wszyscy w kraju powątpili,
Więc się skryli i stchórzyli.

A Morawski jeden sam,
Na placówce stoi tam,
Stał i marzył... albo klął...
Nadszedł Moskal, więc go wziął.
I spełniła się ofiara
I powlekli go do cara.

Carem wtedy była jędza,
Jakie z piekieł czart wypędza,
Więc się bardzo ucieszyła,
I Drewicza całowała,
Krzycząc: hura! chwała! chwała!
Będzie z Polski wnet mogiła,
Jam się jej poiła krwią,
Więc mi chwała za jej grób,
Tu już wierni moi są,
Którym matką Polski trup.
Więc takiego pana brata
Co się jeszcze przy jej skonie
Ważył stawać w jej obronie,
Trzeba uprzątnąć ze świata,
Więc mu trzeba lodów dać
By zagasił ogień swój,
Więc na Sybir jego słać,
Mój Drewiczu, synku mój!

Więc skończona sprawa cała,
Bo caryca tak kazała.
Więc Morawski w Sybir gnany
Kończył żywot krwią oblany,
Ginął, więdnął, licho marnie,
A król bawił się bezkarnie,
Lecz choć w srogie jarzmo wzięty,
Jeszcze płatał im wykręty;
Jeszcze w drodze bity, kłuty,
Kajdanami ostro kuty,
Tyle siły w sobie miał,
Że dwa razy więzy rwał.
I dwa razy swoich braci,
Zaklął do morderczej bitwy,
Gdy mijali krańce Litwy,
Gdzie się z oczów Polska traci.
I nie pokpili się sztuką,
Bo i straże rozbroili,
I pięściami, kajdanami,
Tęgo jeszcze Moskwę tłuką...
Aż się z złości zapienili,
Nad dzielnymi Polakami.
Lecz to był już czyn ostatni,
Przed wrotami wiecznej matki
Pożegnaniem to już było,
Z biedną ojczyzny mogiłą...
Odtąd gnali ich jak psów,
Do sybirskich strasznych lodów...
I — aż kiedyś może znów,
Wstanie mściciel wśród narodów,
Co się pomści braci tej,
Co wymarła tam z rozpaczy,
I wynagrodzi siepaczy.

X. Zakończenie.

Więc tak miły czytelniku,
Wiesz już wszystko o rzeźniku,
Co się swym toporem wsławił,
I Moskali djable dławił.
Ale nie wiesz tego jeszcze,
Jako modlił się on szczerze
Na wygnaniu tam w Sybirze.
Modlił się ranami swemi
Co bolały przypomnieniem,
Modlił się łzami krwawemi,
Co płynęły z ócz strumieniem,
A potem — zaciskał pięści,
Wiarą ducha krzepił jeszcze,
Bo miał to przeczucie wieszcze,
Że Bóg kiedyś nam poszczęści.
Więc się modlił z tą nadzieją,
Że nie upłynie lat wiele,
A w Polsce będzie wesele,
Aż się w niebie roześmieją...
Z tą nadzieją żył w tułactwie,
Tą nadzieją smutnych koił,
Co się tułali z nim w bractwie,
I nią blizny serca goił.

A gdy już gorzka łza bratnia,
Co życie z oka zadmucha
Przyszła do niego ostatnia,
Z tą nadzieją oddał ducha.
Więc tak w śmierci jak i w życiu,
Morawski przez swoje dzieła,
Choć siedział sobie w ukryciu,
Choć dusza jego nie lgnęła
Ani do wielkich honorów,
Ani do sławy — wielkości,
Dowiódł, że ogniem miłości
I za pomocą toporów,
Jeśli się zręcznie poliźnie
Można usłużyć ojczyźnie.
A że cierpiał za ojczyznę,
Więc jest chwały wart — i kwita
Więc kto Polak niech to czyta
I z czcią wielbi każdą bliznę,
Jaką rzeźnik konfederat,
Poniósł w boju za ojczyznę,
I jak Moskwie on był nie rad,
Tak my jemu bądźmy radzi,
Więc i krzyknąć nie zawadzi:
Wiwat rzeźnik konfederat!

Piotr Winiarczyk

mieszczanin z Gniezna.

Za dawnych czasów siedzieli królowie nasi polscy w mieście Gnieznie, gdzieto jest grób św. Wojciecha i gdzie ciało tego męczennika i Apostoła złożył król Bolesław Chrobry na pamiątkę, aby tam Polacy chodzili zawsze na odpusty. A niema ani sto lat temu, jak to miasto i tamten kraj polski naokoło zabrali Prusaki, a jak starzy nasi dziadkowie nazywali tamte swoje kraje Wielkopolską, nito najpierwsze polskie kraje, tak teraz przezwali to Prusaki Wielkiem Xięztwem Poznańskiem.

Otoż w mieście Gnieźnie był pałac królewski, a dalej mieli domy swoje porządne mieszczanie polscy. Między takimi mieszczanami był na przedmieściu jeden bogaty i bardzo pobożny, co się zwał pan Piotr Winiarczyk. Miał ci grunt swój, pasiekę, a do tego jeszcze był doskonałym majstrem na całą okolicę. Jakci się ustroił w Niedzielę po swojemu, to się mu wszystko przy spotkaniu kłaniało, a król polski znał go doskonale i nie raz pogadał z nim o niejednej rzeczy.

A był wtedy królem polskim Przemysław. Było to roku pańskiego 1270, a więc już z okładem 600 lat. Ten Przemysław był wtedy królewicem młodym, a miał stryja w mieście Kaliszu, który był bardzo pobożny i dziś jest u Polaków pra-

wie za świętego uważany. Toż nazywali go Polacy Bolkiem pobożnym, a miałci on i żonę taką, która dziś jest świętą Heleną zwana.

Przemysław królewicz miał wtedy 18 lat i był pod opieką stryja swego. Ten stryj przyjął mu za nauczyciela Xiędza i powiada do niego:

— Oto wyucz mi Xięże mego bratanka doskonale na książkach, aby wiedział najprzód o Bogu i umiał się Boga bać, a potem aby wiedział wszystko o królach polskich i o wszystkich Polakach, aby nic tu nie szwargotał po nijakiemu, ale gadał po swojemu, jak się patrzy, aby nie był Niemcem ale Polakiem, jakim go matka urodziła, aby był potem dobrym królem i ojcem dla Polaków. A trzymaj mi go ostro, dopóki jest zamłody.

Toż Xiądz polski uczył wszystkiego dobrego tego królewica, a stryj znowu rządził sam jego krajami i nie pozwalał z pałacu wychodzić i gadał:

— Ucz się ucz mój bratanku! bo szkoda czasu bożego, a co się za młodu nauczysz, to później jak znalazł — a rozum dobry i nauka więcej znaczą, niż majątek i dukaty!

Toż królewicz Przemysław uczył się i słuchał, ale nie raz było mu nie w smak, że on razem z stryjem nie gazdował i nie rządził w swoich miastach i wsiach. I gadał on do stryja:

— Pozwólcie mi też rządzić razem z wami i mieć jaki krajcar przy sobie! i pozwólcie mi też czasem wieczorem wyjść sobie do miasta na jaką zabawkę i rozrywkę.

A stryj pobożny mu na to:

— Co ci potrzeba, to masz — a grosza nie dam na zabawki, bo to grzech i jabym za to na sądzie odpowiadał, jakbyś ty marnował pracę ojca i matki. We dnie, kiedy Bóg świeci słonkiem, to czas każdemu do roboty, a nie do próżnowania, a w nocy, kiedy Bóg sam gasi światło, to czas do modlitwy i spania, a nie do zbytkowania i latania po mieście. A jak ci będzie 24 lat, to dopiero wtedy ożenisz się i będziesz sobie sam rządził, a ja ci się wyrachuję sprawiedliwie potem z każdego krajcarka twego i oddam ci do jednego szeląga.

I rad nie rad królewicz pozostał w pałacu i uczył się i słuchał, a to mu na dobre wyszło.

Ale znał on się z tym mieszczaninem bogatym i pobożnym Piotrem Winiarczykiem, i lubili się oba strasznie. Otoż raz jakoś mu się bardzo przyjadła ta ostra opieka stryja i duma sobie:

— Na co ja mam tak pokutować u tego stryja! ani mi królować nie da, ani się żenić nie pozwala, ani z domu nigdzie nie puści, a ja przecie wyuczyłem się już dobrze wszystkiego, już potrafiłbym być dobrym królem, i jużby mię nikt na złe nie potrafił naprowadzić — otoż już wiem, co uczynię. Mam ztąd daleko aż nad morzem w kraju Pomorze zwanym, krewnego bogatego xięcia Mestwina pobożnego, otoż tam ucieknę, tam się ożenię i potem wrócę sobie do Gniezna i będę Boga chwalił, Polakom dobrze robił i cóż mi będzie?

I tak sobie dumając w swej głowie zaczął w nocy pakować rzeczy potrzebne, ale jak je wynieść z pałacu do miasta? bo warta stała koło pałacu. Toż zostawił on rzeczy i sam w jednej koszuli wyleciał z pałacu, ominął pocichu wartę i już był w mieście. Ale o północy do kogo tu pójść? Otoż duma sobie:

— Aha! mam go! pójdę prosto do domu Winiarczyka poczciwego, tam zapukam, a on mię na pewne puści i poradzi mi najlepiej.

I tak dumając sobie królewicz zaszedł aż na przedmieście prosto pod ogród i dom Winiarczyka. Aż tu psy zaszczekały. Królewicz zawołał na psy i tak się przybliżył do drzwi i puka.

— A kto tam taki puka tak późno w nocy? zapytał ktoś od Winiarczyka.

— A czy jest w domu Piotr Winiarczyk? pyta królewicz.

— A jużci jest, bo gdzieżby po nocy chodził.

— Proszę was, rzecze królewicz, wstańcie też prędko, i zawołajcie tu samego Piotra, bo go tu koniecznie i bardzo prędko potrzeba.

— A kto wy za jeden, że łazicie po nocy? Ale jak trza to trza, to poczekajcie chwilkę, a ja zawołam pana Piotra.

I niedługo przychodzi sam Piotr Winiarczyk do bramy i ledwo usłyszał głos królewicza poznał go do razu, otworzył bramę i witając królewica pyta:

— A dla Boga świętego! a czy stryj lub stryjanka zachorowali albo co tam takiego?

— Nic złego, mój poczciwy Piotrze! stryj i stryjanka są dobrzy ludzie dla Polaków, jeno dla mnie są za ostrzy, a jabym chciał sam królować. Ale chodzi tu o coś lepszego. Oto mój bogaty krewny na Pomorzu, gdzie miasto Gdańsk stoi, niema dzieci i jest już stary, a Niemcy go podchodzą i zmówili się z Krzyżakami, aby ten staropolski kraj wykpić darmo od niego. Toż uważacie mój Piotrze! ja sobie tak ułożył w nocy, aby po cichu uciec od stryja i dostać się jakoś do tamtego drugiego, a miarkuję sobie, żeby mi może tamten krewny zapisał swój kraj i nie dał go Niemcom cyganom, a jabym się wtedy ożenił gdzie dobrze i miałbym swoją ojcowiznę, a stryj by mi dał swój kraj i byłaby wtedy polska kraina aż po morze.

Piotr Winiarczyk słuchał z uwagą królewica i podobało mu się to, że królewicz myślał zawsze i pamiętał o swej ojcowiznie i chciał dla Polaków dobrze zrobić i dostać dla nich Pomorze i Gdańsk, toż rzecze potem:

— A wieże o tem wasz stryj, że chcecie tam pójść? bo jabym nie chciał, aby się wasz stryj i opiekun gniewał na mnie.

— No! rzecze królewicz, stryj o tem nie wie — ale wy się Piotrze niczego nie bójcie, bo to się nie wyda, a jak wy mi pomożecie, że ja się dostanę do tamtego krewnego xięcia Mestwina, to jak mi Bóg pomoże wrócić szczęśliwie do Gniezna, ja wam to i waszym dzieciom odpłacę stokrotnie.

— No! rzecze Piotr, całując w rękę królewicza, to ja to zrobię, bo powiadają Polacy, gość w dom, to Bóg w dom, a Bóg nakazuje przyjąć swojaka i dać mu poratunek. A prosiłbym pokornie, byście byli łaskawi wleźć do izby mojej, jeno nie chciałbym aby was kto poznał, a potem wypaplał po całem mieście i dowiedziałby się stryj wasz o tem, to bym miał za to biedę jaką.

— Nono! rzecze królewicz, ja zostanę pod chałupą, a wy mi dajcie konie dobre i przewodnika, abym mógł zaraz ale to zaraz jechać.

Piotr Winiarczyk zwinął się co tchu, wybrał swego konia dobrego, osiodłał, dał wór obroku, potem dał płaszcz królewi-

czowi i dał mu dużo dukatów na drogę, sam wsiadł na drugiego konia, i przez miasto wyprowadził pięknie ładnie aż o kilka mil za miasto, potem pożegnał królewicza, zdjął czapkę, podniósł oczy do nieba i powiada:

— Niech Cię Bóg szczęśliwie prowadzi dobra polska duszo! niech ci pomoże, abyś dla Polaków zrobił wszystko dobre i wrócił do Gniezna, a potem był dobrym królem tak jak twoi dziadkowie.

Królewicz podał mu rękę i pojechał w drogę, a Piotr poczciwy stał jeszcze długo i pozierał za królewiczem.

I było potem cicho w Gnieznie, Polacy gadali rozmaicie, jedni dobrze, drudzy źle, a Piotr ani słowa przed nikim nie powiedział. I za rok dopiero przyszło pismo z Gdańska od xięcia Mestwina do stryja królewiczowego Bolka pobożnego, że królewicz jest na Pomorzu, że się żeni z bogatą panią Lukierdą, którą Polacy Ludgardą zwali, że dostanie na wiano dużo kraju i Gdańsk, i że wróci do Gniezna, jeżli się stryj nie gniewa.

Ale Bolko pobożny ucieszył się strasznie na to i zaprosił królewicza z żoną do Gniezna, i obiecał zaraz oddać mu wszystko, a potem podarować mu i swoje kraje koło miasta Kalisza.

Tak więc wrócił w wielkiej paradzie królewicz z żoną młodziutką i ładniutką jak lilia do Gniezna, całe miasto go witało koło bramy z chlebem i solą, czego było u Polaków zawsze najwięcej, a Piotr Winiarczyk był na samym przodzie, ustrojony po swojemu, aż się świeciło wszystko na nim od złota i on to powitał królewicza oracją, aż grzmiało.

A stryj i stryjanka wzięli bratanków młodych za ręce wsadzili do karety malowanej i złotej i powieźli z weselem i muzyką do pałacu. Gdy stryj poznał młodą żonę królewicza, bardzo się cieszył, odtąd była zgoda w pałacu. Aż raz powiada stryj:

— No! teraz kiedy masz żonę mój bratanku, to ja ci oddaję cały polski kraj, rządź sobie sam, ale pamiętaj, abyś był ojcem dla Polaków. A potem radzę ci, napisz sam do Ojca św. i proś, aby cię sam Ojciec św. koronował na króla polskiego, bo wiesz to dobrze, że już dawno nie koronował Oj-

ciec św. królów polskich, odkąd jeden król zabił św. Stanisława. Na to rzecze królewicz:

— Bóg wam zapłać stryju! żeście się dobrze opiekowali moją ojcowizną, żeście i mię dali wyuczyć wszystkiego, żem teraz mądrym Polakiem — ale mam ja tu jeszcze jedną sprawę zrobić z Piotrem Winiarczykiem.

— A to co znowu takiego? pyta stryj.

— Oto! odpowie królewicz, ten Piotr zrobił mi dużo dobrego, a ja mu obiecałem to odpłacić.

I opowiedział królewicz wszystko co do słowa, co to Winiarczyk zrobił mu w nocy, jak go poratował po chrześciańsku, jak go nie zdradził i nie cofnął do pałacu, ale odprowadził na swoim koniu kilka mil sam i dał konia, płaszcz i dukaty na drogę.

A wtedy to dopiero całe miasto wychwalało Piotra, a sam Bolko pobożny i żona jego pobożna Helena i sama żona młodziutka królewicza podziękowali Winiarczykowi za taką dobroć i przysługę, a sam królewicz Przemysław podał mu zapis i rzecze:

— No! to masz tu mój dobry Piotrze zapłatę za twoją wysługę, a ty i twoje dzieci są wolne na wieczne czasy od każdego podatku, forszpanu i kwaterunku wojska i od najmniejszej składki w mieście. A masz tu znowu prawo szlachectwa dla siebie, aby cię miasto szanowało i jak długo żyć będziesz, będziesz do śmierci wójtował na całe miasto.

Piotr Winiarczyk pocałował z dziećmi królewicza Przemysława w rękę za to, potem zaprosił go stryj królewicza na obiad do pałacu, gdzie wygrywała muzyka na wiwat Piotrowi, a po jedzeniu podarowali mu panowie dwa konie prześliczne, a żona królewicza podarowała mu płaszcz złoty, a gdzie się jeno na mieście pokazał, to go witano z honorami. On zaś aż płakał z tej radości, że się przysłużył w biedzie drugiemu, a za to mu Bóg tak odpłacił. Toż na drugi tydzień zaprosił on znowu cały dwór królewski i całe miasto na gościnę do siebie, i na stołach pod gołem niebem dawał jeść i pić, co kto chciał i podawał bogate podarunki gościom swoim. Jak umarł, to na jego pogrzebie było całe miasto z królewskim dworem a dzieci jego miały wieczną pamiątkę po nim, a xięża darmo go z paradą pochowali.

Toż i wy moi kochani tak róbcie, jak ten Piotr Winiarczyk! bądźcie dobrymi katolikami, dobrymi Polakami, kochajcie waszą ojcowiznę, waszą mowę, wasz ubiór polski i zwyczaje waszych dziadków, a pamięć po was zostanie między swojakami dobrymi na wieczne czasy.

Xiądz Wojciech z Medyki.

O wychowaniu dziatek.

Rady dla rodziców.

Gdy dziecię podrasta, zaczyna się czołgać, a wreszcie i na nogi się podnosi, wymaga większej jeszcze uwagi i starań niżli poprzednio. Samo sobie pozostawione, łażąc po kątach, spinając się po stołkach, łatwo sobie może zaszkodzić, już to spadłszy ze stołka, stołu, obaliwszy na siebie sprzęt jaki. Szczególniej jednak uważajcie, aby dzieci takie nie kręciły się koło pieca i wy sami żebyście ich tam nie sadzali, nic łatwiejszego bowiem jako zapalić na sobie przyodziewę, a ztąd śmierć w cierpieniach, albo gorsza jeszcze od niej ciężka choroba w skutek poparzenia, pociągająca za sobą kalectwo. Tysiące dzieci w ten sposób padło ofiarą nieostrożności rodziców, ja sam z własnego doświadczenia mógłbym wam kilka przytoczyć, ale ograniczę się tylko na jednym jako się przed kilku laty we wsi pod Warszawą leżącej, wydarzył. Kobieta wyszła z domu, zostawiając dwoje dzieci: jedno cztero, drugie dwuletnie, i ogień w piecu zapalony. Starsze dziecię przysunęło się do pieca i zapaliło na sobie przyodziewę; gdy go zaczęło parzyć, weszło do kołyski, w której siedziało młodsze dziecko, i na tem suknie się zajęły. Sąsiedzi widząc płomień przez okno, weszli do izby i ogień wprawdzie ugasili, ale biednych dzieci uratować nie zdołali, jedno już było bez życia, a drugie po kilkodniowych cierpieniach zmarło. A matka cóż podówczas robiła? oto, gdy pobiegli jej szukać, aby jej dać znać o nieszczęściu, znaleziono ją pijaną, leżącą bez przytomności w kałuży, w której wracając z karczmy się przewróciła. Upominam was raz jeszcze, uważajcie na dzieci, oparzenie bowiem, choć nie wielkie, które u człowieka starszego dałoby się łatwo wygoić, u dziecka może dać powód do zapalenia mózgu, które prawie zawsze śmiercią się kończy.

Gdy dzieci podrastają, pozwalajcie im niech się bawią na dworze, stosownię do pory czasu przyodziane; bose chodzenie wcale im nie zaszkodzi, niech tylko niepotrzebnie podczas zimnej pory roku nóg nie maczają. Mogą biegać, przewracać się, ale na trawniku albo na piasku, nie zaś na kamieniach, na których przewróciwszy się, łatwo się mogą skaleczyć.

Gdy dzieci bawią się na dworze, dajcie na nie baczność, żeby się nie kręciły koło koni, które je mogą kopnąć, ugryźć, skaleczyć, czasem nawet nieumyślnie, oganiając się od nich. Niech też dzieci będą ostrożnemi, chodząc koło krów, świń, psów, szczególniej obcych, niech ich nie drażnią, bo łatwo mogą zostać skaleczonemi. Nadto, pamiętajcie o tem, że drażnienie zwierząt, dokuczanie im i pastwienie się nad niemi w dziecinnym wieku, zatwardza serce i czyni je na później nieczułem nietylko na cierpienia zwierząt, ale i ludzi. Najwięksi zbrodniarze, będący hańbą ludzkości, którzy za zbrodnie dokonane, pod mieczem katowskim albo na szubienicy życie zakończyli, zaczynali zwykle od pastwienia się nad zwierzętami w dzieciństwie.

Jezeli w pobliżu domu są studnie, doły na ziemniaki itp. nie zasypane, należy je ogrodzić, łatwo bowiem dziecko może wpaść i kalectwa się nabawić.

Kiedy chłopcy podrastają, lubią chodzić kąpać się do rzeki lub stawu; gdy tam idą, zawsze z niemi powinien iść ktoś starszy, łatwo bowiem nieszczęście może się wydarzyć. Jeszcze więcej na chłopców trzeba uważać, gdy w porze zimowej idą na lód się ślizgać, łatwo bowiem jeden drugiego może przewrócić, albo lód się załamać, lubo ślizgania się ostrożnego, pod nadzorem starszych, wcale nie potępiam.

Swawolne chłopcy lubią spinać się po drzewach, wieżach, łazić po dachach, wykręcać gniazda ptakom, wszelkie zabawy tego rodzaju grożą niebezpieczeństwem, łatwo bowiem spadłszy złamać rękę lub nogę, a nawet kark skręcić. Wszelkie zabawy, przy których można się skaleczyć, uderzyć, są niedobremi dla dzieci, tu zaliczam wywracanie koziołków, nieostrożne przeskakiwania rowów, huśtanie się, ciągnienie za ręce, podnoszenie za uszy do góry, zakrywanie oczów z tyłu i t. p. zabawy, mogące za sobą szkodliwe następstwa pociągnąć, ale najzgubniejszym żartem jest niespodziewane wysunięcie stołka, gdy ktoś siada, upadnięcie bowiem takie niespodziewane, a z zamachem, może stać się przyczyną kalectwa na całe życie.

Mocować się, pasować z sobą, chłopcy mogą a nawet to się przyczynia do wyrabiania sił, ale niech to robią w takiem miejscu, gdzie upadnięcie szkody im nie przyniesie, a najlepiej na trawniku.

Wyrabianie sił na świeżem powietrzu, granie w piłkę, bieganie, nietylko nie jest nagannem, ale dla chłopców wiejskich którzy później do pracy sił będą potrzebować, jest koniecznością.
Bawienie się pręcikami, batożkami, kijami, wymaga ostrożności, żeby innym szkody nie przynieść. Szkodliwem też może być bawienie się tak zwanemi fistułami czyli rurami długiemi z drzewa, z których wydmuchuje się gwoździk. Nieostrożne wydmuchnięcie gwoździa, może być przyczyną skaleczenia, a nawet wiem o przypadku, gdzie chłopiec wydmuchnąwszy gwoździk, wybił nim oko człowiekowi właśnie przechodzącemu ulicą. Po drogach, gościńcach, dzieci plątać się nie powinny, łatwo bowiem mogą zostać przejechanemi. Ludzie pilnujący lasów, gajów, miewają w domu zwykle strzelby; niechże ich dzieciom ruszać nie pozwalają, gdyż łatwo nieszczęście może się wydarzyć.
Zabawki jeżeli kupujecie dzieciom, uważajcie aby nie były ostre, kanciaste, a jeżeli są przeznaczonemi dla małych dzieci, nie kupujcież malowanych, zwłaszcza na czerwono i zielono, dzieci bowiem, biorąc zabawki do ust, oblizują farbę, z czego łatwo mogą zachorować.

Gra w karty wprost zdrowiu nie szkodzi, ale z innych względów jest naganną; nie pozwalajcie jej zatem, chłopcom zwłaszcza, że nieraz kłótni i bójki może być powodem.

Jeżeli dzieci w zimie bawiąc się na dworze śniegiem albo biegając zziębną mocno, ręce lub nogi mają zimne jak lód, a jak raki czerwone, nie trzeba ich rozgrzewać przy piecu, w ten sposób bowiem najłatwiej mogą się odmrozić, ale każcie je włożyć w śnieg, lub w zimną wodę, a następnie rozcierać; w ten sposób ciepło powróci a szkody nie przyniesie.

Nie pozwalajcie dzieciom bawić się nad wodą, łatwo bowiem mogą wpaść i utonąć, a w porze zimowej gdy się lód załamie, choćby nie utonęły, mogą się zranić, a nawet samo skąpanie się w zimnej wodzie, może chorobę wywołać.

Wystrzegajcie się straszenia dzieci, opowiadając im powieści o upiorach, czartach, strachach, czarownicach, takie niedorzeczności bowiem, dzieciom w głowach przewracają i robią to, że dziecko potem lada czego się boi.

Dzieci rosnąc potrzebują pożywienia, może nawet więcej niżli człowiek dorosły, głodzić ich zatem nie trzeba, ale też i co chwila jeść nie powinni. Jeżeli dostaną jeść pięć razy na dzień, to zupełnie wystarczy. W pokarmach niema potrzeby przebierać, młody bowiem żołądek lepiej trawi niżli starszy, ale nie dajcie jeść dzieciom tłusto, korzenno, bo to im krew rozpala, a szczególniej nie dajcie im gorzałki. Uważajcie żeby

nie jadły jagód, owoców, nasion, korzeni, których nie znają, łatwo bowiem jadowitą rośliną otruć się mogą.

Po zgrzaniu się, zmęczeniu, przestrzegajcie żeby nie piły zaraz zimnej wody; takie bowiem nagłe oziębienie może stać się przyczyną choroby.

Idąc w takie miejsca gdzie jest dużo ludzi, jak do kościoła, do karczmy, na jarmark, odpust, nie bierzcie z sobą dzieci, szczególniej młodszych, łatwo bowiem mogą je przewrócić, potrącić, a w wielkim natłoku, jak się to zdarza na odpustach w Częstochowie, na Kalwaryi i o zaduszenie na śmierć nie trudno. Niepotrzebnie też brać z sobą dziecię, idąc do umarłych, wyziewy bowiem z ciała zmarłych, szczególniej na choroby zaraźliwe, jeżeli dla nikogo nie są zdrowemi, tem szkodliwszemi muszą być dla dzieci.

Jeżeli dzieciom krnąbrnym, nieposłusznym, przestrogi nie wystarczają, trzeba je ukarać, ale pamiętajcie aby to uczynić po rodzicielsku, ostrożnie, uważając aby im w gniewie krzywdy jakiej nie wyrządzić, bijąc je po głowie, oczach, piersiach; do bicia nie bierzcie lada kija, który się pod rękę nasunie, najlepiej więc różczki brzozowej, która choć bije, nie połamie kości, i nie bijcie bez upamiętania.

Gdy dzieci podrastają, usuwają się coraz więcej z pod oka i nadzoru rodziców, pomagając im zato w pracach koło domu, roli dobytku, albo też idąc w służbę do innych gospodarzy. I teraz rodzice nie powinni dzieci z pod opieki swej wypuszczać, lecz zwracać mają uwagę na ich postępowanie. Szczególniej uważajcie, żebyście ich zbyteczną pracą nie obciążali, nie kazali im dźwigać ciężarów, nosić zboża, kartofli, w dużej ilości na raz, nie wymagajcie od chłopców kilkunastoletnich zaledwie, aby zboże młócili po całych dniach, praca bowiem nad siły w młodym wieku, choć nie od razu, zawsze szkodliwe następstwa za sobą pociąga.

Z zabaw przez młodzież używanych, do najczęstszych należy taniec, ten w miarę użyty nie szkodzi, ale nadużyty, zadługo w noc przeciągnięty, może stać się szkodliwym, zwłaszcza dla młodzieży słabowitej, mającej usposobienia do kaszlu i chorób piersiowych.

Na tem kończę, pragnąc, aby ta nauka przyniosła wam jak najwięcej pożytku i przyczyniła się do zachowania przy dobrem zdrowiu tak was samych, jako też i dzieci waszych, co daj Boże! ***Doktor Ściborowski.***

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.